

Gość Opolski, 32/2013, 11 sierpnia 2013, str. IV-V



– Żyjąc w Polsce, czuliśmy się pewni. Będąc w Montpellier, doświadczamy swej kruchości, ale mamy głębokie przeświadczenie, że właśnie tam Pan Bóg chce nas teraz mieć – mówią Adriana i Leszek Wiśnikowie z Opola (z I wspólnoty neokatechumenalnej w parafii Przemienienia Pańskiego).

W Polsce mieli ułożone życie – mieszkanie, dobrą pracę, grono przyjaciół i znajomych. Z tego wszystkiego zrezygnowali i pojechali wraz z piątką dzieci do Montpellier we Francji, gdzie dołączyli do misji „ad gentes”, utworzonej na prośbę miejscowego biskupa przez Drogę Neokatechumenalną. – Nie czujemy się lepsi od innych. Jesteśmy słabi i grzeszni, a naszą mocą jest łaska, którą Bóg nas obdarza – mówią Adriana i Leszek Wiśnikowie.

Odczytali Bożą wolę

– Decyzja długo w nas dojrzewała. Będąc we wspólnocie neokatechumenalnej, słyszeliśmy o rodzinach, które wyjeżdżają na misje do różnych krajów. W pewnym momencie każde z nas poczuło, że jest to być może i nasze powołanie. Zaczęliśmy o tym rozmawiać, modlić się, pytać Pana Boga, czy taka jest Jego wola. Otwieraliśmy Pismo Święte i widzieliśmy, że Pan Bóg to potwierdza – opowiada małżeństwo misjonarzy. W styczniu 2012 roku zostali posłani przez

Rodzina na misjach

Wpisany przez Ania
wtorek, 01 października 2013 19:26

papieża Benedykta XVI do Montpellier. Audiencję poprzedziły 2-tygodniowe rekolekcje, na których rodziny ze wspólnot neokatechumenalnych z całego świata, które wyraziły gotowość wyjazdu na misje, dowiedziały się, do jakiego kraju się udadzą. Jedne rodziny były posyłane do utworzenia nowych misji, inne do dołączenia do już istniejących, zarówno w krajach Europy Zachodniej, jak i Wschodniej, w Afryce, Ameryce czy Papui-Nowej Gwinei. – Odbywało się to przez losowanie. Pan Bóg sprawił, że na nas czekała Francja – wspominają. Języka francuskiego nie znali, ale z pełnym zaufaniem szykowali się do wyjazdu. – Daliśmy sobie pół roku na przygotowania. Chcieliśmy, by starsze dzieci skończyły rok szkolny, by na świat przyszedł najmłodszy Dominik – mówią.

Kościół wymierający?

Montpellier to miasto na południu Francji. Kiedyś było chrześcijańskie, o czym świadczą m.in. liczne kościoły czy piękna katedra. Dziś katolików chodzących do kościoła jest tu garstka. Statystyki podają, że niespełna 1 proc. Większość społeczeństwa to ateści i muzułmanie. – Młodzi ludzie nie są ochrzczeni, nigdy nie słyszeli o Panu Jezusie, religia ich nie interesuje. Święta wprawdzie zachowały chrześcijańskie nazwy, ale ludzie ich nie rozumieją. Wielkanoc to po prostu dodatkowe dni wolne od pracy, kiedy w domu można zająć się większymi pracami, np. remontowymi. W diecezji Montpellier nie ma seminarium, księża są w większości w starszym wieku, a kościoły pozamykano albo przekształcono na muzea. Po ludzku patrząc, Kościół jest tam na wymarciu – opowiada Leszek Wiśnik. – Rzeczywistość, którą zastaliśmy, w pierwszym momencie bardzo smuci, ale i tam Kościół żyje. Jesteśmy częścią misyjnej wspólnoty, którą tworzy ks. Emmanuel Bornhauser, pięć wielodzietnych rodzin, osoba samotna i seminarzyści z Redemptoris Mater z sąsiednich diecezji. To dodaje ducha – mówi Adriana Wiśnik. Misja „ad gentes” w Montpellier powstała 5 lat temu na nowo wybudowanym osiedlu Malbosc, które zostało zaprojektowane jako takie, na którym nigdy nie będzie żadnego kościoła. Dlatego dom będący siedzibą parafii nie może mieć na zewnątrz krzyża, jest za to tablica informująca, że mieszka w nim ksiądz katolicki. – Misja w Montpellier ma prawa parafii. W domu misji są sprawowane Msze św., udzielane sakramenty, odbywają się katechezy, ale z punktu widzenia władz miasta w tym miejscu nie ma kościoła – opowiadają.

Chcą mówić o Jezusie Chrystusie

Misja „ad gentes” nie wyrusza ze świątyni w sensie budowli, ale ze wspólnoty chrześcijańskiej, która jest jak świątynia Chrystusa. Prowadzą ewangelizację na ulicach, odwiedzają ludzi w domach, opowiadając o swoim doświadczeniu wiary, zapraszając do przyścia do parafii, prowadzą również katechezy, m.in. dla dzieci. – Zaskoczyło nas, że w tych spotkaniach uczestniczą dzieci, których rodzice nigdy nie przychodzą do kościoła. Oni nie chcą, by ich dzieci

były chrześcijanami, ale by nauczyły się wartości, które Kościół katolicki przekazuje – zauważają Adriana i Leszek. Kiedy w Montpellier odbył się pierwszy ślub homoseksualistów, a po nim parada miłości, ich wspólnota kolejnego dnia poprowadziła ewangelizację. Ale bycie misjonarzami to nie tylko wychodzenie na ulice i głoszenie prawdy, że Chrystus umarł i zmartwychwstał za każdego człowieka. To również zapraszanie Jezusa w relacje w pracy i sąsiedztwie, opowiadanie o swoim życiu, świadczenie o Bogu w codziennych, zwyczajnych sytuacjach. Tak wygląda codzienność, ale na misję trzeba spojrzeć w perspektywie 20, 50, a nawet 100 lat. W historii Kościoła to przecież krótki okres. – Rodziny w Montpellier są wielodzietne, młodzi tworzą na miejscu nowe rodziny i tak rozwija się Kościół. Najstarsza córka włoskiego małżeństwa z naszej misji poznała Francuza, który nie był ochrzczony. Zakochali się w sobie, a on przez tę znajomość wszedł do Kościoła, poznawał katechizm, przyjął sakramenty. Od 3 lat są małżeństwem, mają troje dzieci i jako rodzina zostali w misyjnej wspólnocie – Adriana i Leszek podają przykład owocowania misji.

Świadectwo miłości i jedności

– Doświadczaliśmy bardzo dobrego przyjęcia ze strony wspólnoty. Po przyjeździe zastaliśmy wynajęte, umeblowane mieszkanie. Lodówka była pełna. Nikt od nas nie oczekiwał, że od razu musimy za coś płacić. Taka jest istota misji „ad gentes”, że ma przywoływać ludzi poprzez znaki miłości i jedności w danej wspólnocie. Każdy z nas ma swoje życie, pracę, mieszkanie, ale jest jedność między nami i kiedy jedna osoba ze wspólnoty ma problem, inni jej pomagają nie tylko słowem, ale przede wszystkim konkretnymi czynami – wyjaśniają Wiśnikowie. – Pierwsze dni we Francji były trudne, ale Pan Bóg od początku nam pomagał. Kiedy dzieci szły pierwszy raz do francuskiej szkoły, były bardzo przestraszone, a młodsza córka, 6-letnia Wiktoria, płakała. Gdy popołudniu przyjechaliśmy po nie, wszystkie były uśmiechnięte i zadowolone – opowiada Adriana. – Najradośniejsza była Wiktoria, która wszystkim oznajmiła, że ma w klasie Polkę, która wszystko jej tłumaczy. Pozostałe dzieci zaczęły pytać, dlaczego one nie mają nikogo z Polski w klasie. Na to Wiktoria z przekonaniem odpowiedziała, że ona się modliła o to do Pana Jezusa, a On spełnił jej prośbę. Sytuacja zrobiła się ciekawsza po tygodniu, kiedy dowiedzieliśmy się, że to wcale nie jest Polka, ale Portugalka. Tymczasem Wiktoria załapała z nią język i czuła się w klasie pewniej – wspomina Leszek.

Łatwiej nie, znaczy, że lepiej

Pierwszy rok w Montpellier był dla nich czasem odnajdywania się w nowych realiach, choć jak mówią rodziny z dłuższym stażem na misjach, pełna aklimatyzacja trwa przynajmniej trzy, a nawet cztery lata. – Nauczyliśmy się, że we Francji wszystkie sprawy urzędowe toczą się bardzo powoli. Przyjechaliśmy we wrześniu ubiegłego roku, a wyjeżdżając w lipcu na wakacje

Rodzina na misjach

Wpisany przez Ania

wtorek, 01 października 2013 19:26

do Polski, jeszcze nie mieliśmy załatwionych wszystkich formalności – przyznają, ale podkreślają, że ważniejsze jest to, że w wielu wydarzeniach odczytują potwierdzenie, że właśnie Montpellier jest miejscem, w którym Pan Bóg chce ich teraz mieć. – To prawda, że po ludzku w Polsce było nam łatwiej, ale mamy przeświadczenie, że chociaż w Montpellier czujemy się krucho zarówno z uwagi na nieznaną języka, sezonowość pracy, którą udało mi się dostać, jak i brak stabilności finansowej, bo nie wiemy, z czego będziemy żyli w następnym miesiącu, to widzimy, że tam jest nasze miejsce, w którym Bóg na nas czeka – podkreśla Leszek Wiśnik, a jego żona dodaje: – Dostrzegamy, że nasza rodzina żyje w większej jedności. Kiedy jesteśmy w Polsce, czujemy się pewnie, swobodnie, bo jesteśmy w naszym kraju. We Francji trudności, jakie przeżywamy, zbliżają nas do siebie.

Anna Kwaśnicka

Gość Opolski nr 32/2013, 11 sierpnia 2013, str. IV-V